

## Fragment pobytu na Syberii

13.04.1940 – 27.04.1946

Deportacja Polaków z Polski do Związku Radzieckiego 13 kwietnia 1940r.

Do Kazachstanu wieziono nas miesiąc w bydłych wagonach pod eskortą sowieckich żołnierzy. Następnie wyładowano nas w miejscowości Podpusk Pawłodarskiej obłści. Podpusk był położony na brzegu dużej i bardzo szerokiej rzeki Irtysz. Było nas siedem rodzin. Kobiety z dziećmi i chyba dwóch czy trzech chłopców w wieku 13-14 lat. Mężczyźni byli aresztowani jeszcze w Polsce.

Brzeg na którym znajdowała się nasza miejscowość był bardzo wysoki i stromy. Tylko w jednym miejscu było łagodniejsze zejście do rzeki. Tu była droga do wody, którą czerpaliśmy i nosiliśmy do domów dla naszego użytku. Również tu pojono krowy i inne zwierzęta. Zimą natomiast była także droga do przejazdu po zamrożonej rzece na drugi brzeg płaski. Tam koszono i suszono latem trawę dla bydła. Tam też w rzadko zadrzewionym lesie wyrąbywano drzewo, które było potrzebne do produkcji. Zimą przewożono te zasoby do Podpusku, gdzie je używano.

W jeden zimowy ranek mróz około -30 stopni C nasz kierownik polecił Frankowi, około 14 lat, i mnie przywiezienie z wyrębu w lesie po drugiej stronie rzeki drzewo do naszej miejscowości.

Dano nam 6 wołów i 4 sanie. 1 duży wół ciągnął sanie do których był podczepiony zaprzęg dwóch młodych wołów z saniami i znowu 1 duży wół z saniami z podczepionym zaprzęgiem dwóch młodych z saniami. Zjechaliśmy z góry i kierownik z nami. Rzeka była już pod lodem i nawet trochę przyprószone śniegiem, ale środek w pobliżu tego łagodniejszego zejścia z wysokiego brzegu nie był zamrożony. Był to odcinek rzeki długi od 1 i pół do 2 km, gdzie był wartki prąd i głębina. W okresie letnim kursowały tą rzeką statki pasażerskie i towarowe barki. Zjechaliśmy na zamrożony brzeg rzeki i spory kawałek jechaliśmy w górę rzeki, aby oddalić się od miejsca, które nie było pod lodem. W pewnym momencie kierownik zszedł z sań i przeszedł po lodzie. Wrócił i powiedział, że możemy jechać na drugi brzeg. My się sprzeciwiliśmy uważając, że byliśmy jeszcze za blisko miejsca, gdzie rzeka nie była całkowicie pod lodem. Wydawało się nam, że jest bardzo niebezpiecznie. Kierownik stwierdził stanowczo, że nie ma żadnej obawy, on ma doświadczenie i możemy śmiało, bez strachu jechać, bo jest naprawdę bezpiecznie. Musieliśmy jechać. Faktycznie przejechaliśmy szczęśliwie rzekę i wjechaliśmy w las, gdzie był wyręb drzewa. Ładowaliśmy sanie drzewem w kilku miejscach. Potem przywiązaliśmy kłody drzewa do sań, żeby nam się nie rozsypały i ruszyliśmy w drogę powrotną. Wjechaliśmy na lód na rzece i pomału przejeżdżaliśmy rzekę. Wydawało się że wszystko będzie dobrze i niepotrzebne były obawy. Dojeżdżamy do drugiego brzegu i tym brzegiem musimy dojechać do drogi, która łagodnie wspina się

na wysoki brzeg. Lecz tu następuje krach. Lód zaczyna pękać i łamie się. Franek chwycił za wodze pierwszą parę młodych wołów próbując wykierować na brzeg, ale gdzież tam. Sanie toną i ciągną wstecz. Franek nie traci panowania. Woła do mnie, bo byłam jeszcze kawałek w tyle przy drugim zaprzęgu. Szybko wyprzęgaj woły bo toniemy. Widzę, że jesteśmy w bardzo niebezpiecznej sytuacji, bo i do mnie już dosięga pęknięcie lodu. Szybko biegnę i wyprzęgam pierwszego dużego woła, bo kra na której stoi on i ja, przechyla się i wół już w wodzie, ale wyprężony. Zdążyłam jeszcze w ostatnim momencie przeskoczyć z tej kry lodu na drugą, gdzie był drugi duży wół. Muszę szybko też uwolnić go z jarzma, bo kra już tonie, a wół w wodzie. W ostatniej sekundzie przeskoczyłam do młodych wołów bo i ta kra na której stoję zalewa woda. Skaczę do wody, która sięga mi powyżej kostek i udaje mi się, że uwalniam je z zaprzęgu, ale kra już tonie. Prędko muszę wyskoczyć na ląd. Z pomocą anioła stróża jestem na twardym gruncie. Biegnę teraz do Franka. Próbujemy teraz ratować tą parę, ale na próżno. Mokre kopyta zsuwają się z twardej ściany skalnej. I te woły musimy wyprzęgać, bo nie mamy siły, aby wyciągnąć je na brzeg. Wszystkie woły unosi silny prąd wody. Miejsce na rzece nie pokrytej lodem przesunęło się, aż poza nasze toplisko. Na nasze wołanie o pomoc zbiegli się już ludzie. Ktoś pobiegł po łodzi, by ratować woły, które płynęły z prądem rzeki. Sanie załadowane drzewem utonęły, żeby chociaż wyłowiono woły. Przybiegły również nasze matki i zabierają nas do domu, aby ogrzać i osuszyć, bo ubrania przemoczone, a nogi to lody. No i muszą nas nakarmić, bo cały dzień nic nie jedliśmy. Moja siostra miała funkcję opiekunki zwierząt w naszym miejscu pracy. Jak nam później opowiedziała, to pobiegła prędko do obory, gdzie nasłała dużo siana i pozamykała okienka. Kiedy przywieziono woły miały już tam ciepło. Najbardziej ucierpiał stary wół. Nie miał on siły oprzeć się wartkiemu prądowi rzeczniemu i woda zniosła go na odległość jednego kilometra. Mężczyźni jednak go wyłowili i przywieźli na miejsce. Ponieważ był on bardzo długo w zimnej wodzie musiała go jakoś ogrzać. Nagrzała budynek tzw. łaźni, usłała sianem i tam ratownicy go przywieźli i położyli. Siostra silnie nacierała nogi i grzbiet sianem.

Na drugi dzień gdy poszła zobaczyć wół stał na nogach. Zdawało się, że na tym skończyła się nasza niebezpieczna przygoda, ale nie. Wieczorem tego fatalnego dnia przyszedł do nas kierownik, żeby powiedzieć, że jeśli choć jeden wół zginie, nie będą sądzić jego tylko Franka i mnie. Zdziwiło nas to ogromnie. Nie byliśmy przecież winni, że spotkał nas taki wypadek w którym mogliśmy stracić życie, a przecież ratowaliśmy jak mogliśmy woły. Na szczęście wszystkie zostały uratowane. Pan Bóg czuwał nad nami. Gdyby lód załamał się po tamtej stronie rzeki, albo jeszcze gorzej na środku, nie było by dla nas ratunku. Kazachowie ratowaliby woły, a nie ludzi. Zresztą byliśmy przy brzegu, stromym i wysokim, ale wąska ścieżka dawała możliwość ratunku.

Dzięki Ci miłosierny Boże za Twoją czułą opiekę.

Pani Helena